

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłumaczył z języka francuskiego K. W.

7

Ciąg dalszy.

— A ktoś to jest stary Mikołaj Trofimowicz?

— To nasz najstarszy lokaj, co podobno jeszcze mego ojca wypłacał. O! to bardzo poczytywał ten Mikołaj Trofimowicz; ja go bardzo lubię, a on mnie także.

— Czy można wiedzieć, co on tak brzydkiego powiedział?

— To nie wypada powtarzać, bo to bardzo brzydkie. Ale że pan bardzo dobry dla mnie, to pannu powiem. Proszę sobie wyobrazić, on powiedział: „Niech dyabli porwą tego szwaba przybłądę, na niego trzebaby stryczka“.

— Więc ojczym jest Niemcem?

— Ja tego nie wiem; wiem tylko, że nie jest Rosjaninem, bo po rosyjsku z nikim nie mówi.

— Czyście państwo tutaj wprost z Rosji przyjechali?

— Ja z mamą przyjechałem.

— A ojczym?

— Ojczym wyjechał już pół roku temu, a tu w Paryżu na dworcu nas oczekiwał.

— A potem pojechaliście do hotelu?

— Nie wiem, czy to był hotel. Był to duży dom, w którym było zupełnie cicho, pusto. Może w Paryżu bywają takie ciche hotele.

W dalszej rozmowie nie można się było żadnych szczegółów dowiedzieć, któreby mogły dać wskazówkę, gdzie właściwie rodzice malca zamieszkałi. Meriadec domyślił się z tego, że ów ojczym malca, chcąc zamordować żonę i pozbyć się dziecka, wyszukał jakiś ostatniórzedny zajazd, albo też zawczasu najął mieszkanie, byle ułatwić sobie zatarcie śladów swojej zbrodni. Stracił więc nadzieję, aby mu się udało wyszukać ów dom, w którym zbrodniarz ze swemi ofiarami noc spędził. Poszedł ze Saszą do składu ubrań, przebrał chłopca przyzwoicie, a potem zdążył do pałacu sprawiedliwości. Gdy się już zbliżał do pałacu, zastąpił mu drogę Fabreguette i zawołał głośno, według zwyczaju:

— Kogo widzę! Kochany ban baron! Pewnie pan idzie jako świadek? Niechże pan sobie oszczędzi trudu, niema pogo wspinać się po schodach, sędzia śledczy został wezwany do prezydenta, a przesłuchanie świadków odroczone do jutra.

— Bardzo mi to na rękę, rzekł Meriadec, bo wolałbym teraz zająć się czem innym.

— Choć pan ze mną do morgi, — namawiał Fabreguette.

Baron wskazał na chłopca i szepnął, że to będzie niemożliwe, ale malarz, jak zawsze roztargniony, krzykliwy, nie zważał na to i zawołał:

— E, co to szkodzi? Weź pan ze sobą i dzieciaka, niech się oswoją ze wszystkim na świecie. Nie wiedziałem, że pan ma syna, mówiono mi, że pan nie żonaty.

— To nie moje dziecko.

— A widać, widać, do pana nic nie podobny. No, po co się namyślać, chodź pan do morgi. Zwłoki dziś rano wystawiono na widok publiczny; pewnie tam setki ludzi cisną się do nich. Jabym je chciał także zobaczyć, bo wczoraj zaledwie rzuciłem na nie okiem. Najbardziej mnie to zacieka, czy nieszcześliwa zostanie przez kogo poznana.

Baron wahał się, co czynić. Był pewien, że to matka Saszy, więc jakże dziecko narażać na to, aby zobaczyło zwłoki matki, tak strasznie zmiażdżone. Z drugiej strony atoli pragnął się upewnić, że istotnie jest tak, jak się domyślał, a więc taka konfrontacja dziecka ze zwłokami ofiary była nawet poniekąd niezbędną. Dlatego skłonił się wreszcie do zwiedzenia morgi. Sasza przysłuchiwał się rozmowie i zwracając się do malarza zapytał:

— Co to jest morga?

— Cóż to, nie wiesz? Możesz dopiero ze wsi przybył?

— Nie znoszę tego, gdy nieznajomy tak poufale do mnie przemawia. Proszę do mnie „ty“ nie mówić, bo nie jestem pańskim kuzynem.

Malarz uśmiechnął się, wytrzeszczył oczy, cofnął o krok i kłaniając się żartobliwie, odpowiedział:

— Przepraszam jaśnie pana, nie wiedziałem, że mam zaszczyt rozmawiać z potomkiem szlacheckiego rodu.

— To zupełnie nie potrzebne, co pan teraz

czynisz; proszę raczej odpowiedzieć na moje pytanie: co to jest morga?

— Natychmiast mości księżę, czy hrabio, bo nie wiem, jak mam tytułować. Otóż morga, jest to jak gdyby hotel, w którym składa się zwłoki umarłych, zanim je się pochowa. A może księżę pan, czy hrabia, boi się widoku zmarłych?

— Raz tylko w życiu widziałem umarłego. Był to mój ojciec. Nie bałem się go wcale. Dlaczegoż się bać umarłych, jeżeli się żywych nie boimy?

Zdążyli teraz razem w kierunku kościoła Notre-Dame. Blisko kościoła wskazał Sasza ulicę, którą wczoraj z matką i ojczymem przybył pod wieżę.

— Przez tę ulicę przyszlismy — rzekł Sasza. — U brzegu rzeki wysiedliśmy z powozu i szli dalej pieszo; ojczym powóz od brzegu odprawił.

— Aha! — zawołał Fabreguette — teraz już zaczynam domyślać się całej historii.

Meriadec, znając gadulstwo malarza, pragnął zachować przed nim w tajemnicy historię Saszy, ale poznał wnet, że uporczywie natrętny Fabreguette nie odczepi się od niego, więc ostatecznie wypadło już baronowi podzielić się z malarzem tajemnicą. Bojąc się, żeby malarz nie powiedział coś niewłaściwego, coby Saszę urazić mogło, szepnął mu do ucha:

— Opowiem pannu wszystko, gdy będziemy sami, a teraz na miłość Boską, niech pan już nie a nic nie mówi.

— Aj panie, to dla mnie rzecz bardzo trudna — szepnął malarz i przyłożył rękę do ust, na znak, że będzie milczał.

Nic nie mówiąc zbliżyli się do ponurego budynku, w którym umieszczano zwłoki nieznanych ludzi w tym celu, aby je ktoś przypadkowo poznał. Była to głośna w Paryżu morga. Ścisł był wielki, bo niemal cały Paryż wiedział już o tem niezwykłym wydarzeniu, że z wieży Notre-Dame, zrzuciła się, albo zrzuconą została jakaś kobieta.

Policja przestrzegała porządku bardzo energicznie; ciekawi musieli wchodzić jednemi drzwiami, każdy z osobna, a drugimi ich wypuszczano. Za szklaną ścianą leżały zwłoki ofiary, z twarzą zmiażdżoną, rozbitą czaszką. Zostawiono na nich całkowite ubranie i wszystkie klejnoty, ażeby ofiarę tem łatwiej poznać było można.

Meriadec szedł przodem, za nim postępował Sasza, a za Saszą malarz. Zanim jeszcze do zwłok samych zbliżyć się mogli. Sasza, który rozglądał się na wszystkie strony, spostrzegł między wychodzącymi jakiegoś elegancko ubranego, wysokiego mężczyznę i zawołał na niego po rosyjsku, a ten usłyszawszy wołanie Saszy, przyspieszył kroku i zaczął przeciskać się pomiędzy wychodzącymi, widocznie dlatego, aby jak najprędzej się oddalić. Sasza zaczął jeszcze głośniej wołać. Jeden z policyantów ofuknął go za to, a Meriadec ujął się za chłopcem.

— Więc czegoż krzyczy? — rzekł policyant dosyć szorstko.

— Wszakże to dziecko, więc się boi — odpowiedział baron.

— Proszę tu dzieci nie wprowadzać; niech się zaraz oddali.

Policyant utorował im drogę i wyszli natychmiast, nie zatrzymując się już przed zwłokami.

— Na kogo to Sasza wołał? — zapytał baron.

— Na mego ojczyma. O! widzi go pan — tuż przed nami, pobiegnę za nim.

Chłopiec się wyrwał z rąk barona i pędził, wołając po rosyjsku. Baron i malarz gonili za chłopcem, aby jego ojczyma zatrzymać, ten atoli wskoczył do czekającej na niego karetki i prędko odjechał. Sasza zatrzymał się, podniósł pięść do góry i wykrzyknął coś po rosyjsku, grożąc pięściami odjeżdżającemu.

— Czy wolno wiedzieć, co Sasza teraz powiedział? — spytał baron.

— Powiedziałem mu to samo, co Mikołaj Trofimowicz. Powiedziałem mu więcej, powiedziałem, aby go Bóg skarał. O! ja wiem, ja to czuję, że on mojej mamie coś złego wyrządził. To już takie nieszczęście, że my Słowianie od Niemców krzywdy doznawać musimy. Czemu on się nie obejrzał? czemu z nim mamy nie było? Z moją mamą coś złego stać się musiało i to pewnie on, ten szwab to zrobił. A teraz mnie porzucił. Nie darmo Mikołaj Trofimowicz tak płakał nademną, gdyśmy odjeżdżali.

Ta scena wywarła głębokie wrażenie na baronie i malarzu. Byli bezradni, nie wiedzieli co teraz czynić z chłopcem.

Sasza rozpromieniony, z oczyma iskrzącymi, zwrócił się do barona i prosił, aby go zaprowadził do swego mieszkania. Taka energia ożywiła teraz

to dziecko, że wydał się roslým młodzianem, żądnym czynu, albo zemsty.

Malarz przypatrywał mu się uważnie i szepnął do barona:

— Dzielný chłopak! takiego tu w Paryżu by nie znalazł. Domyślam się, że zamordowana jest matka tego chłopca, a ów dumny pan, co tak uchodził, to pewnie morderca?

— Najniezawodniej — odpowiedział baron. — Ofiary nie wskrzesimy, ale możemy ją pomścić. Zbrodniarza pochwycić musimy, aby nie uszedł rąk sprawiedliwości. Dać pomoc nam w tem niezawodnie. Mam nadzieję, że zyskamy jeszcze pomocnika w niewinnie więzionym, którego sędzia śledczy natychmiast nawet bez śledztwa uwolni.

— Całą duszą wezmę udział w tej uczciwej robocie.

— Byłem tego pewien. Teraz proszę pana do siebie, abyśmy ułożyli plan działania.

III.

Sędzia śledczy Malverne mieszkał w pięknym pałacu, którego front zwracał się ku przedmieściu Saint Honoré, a ogród pałacowy dotykał Avenue Gabriele. Z frontu było wejście poniekąd urzędowe, dla osób obcych lub interesantów; przez ogród chodzili znajomi, przyjaciele. Urządzenie pałacu było nietylko dostatnie, poniekąd wspaniałe, ale też prawdziwie artystyczne. Już trzeci rok dobiegał od chwili, gdy Malverne ożenił się z uroczą panną Odetta de Benserade, która mu wniosła blisko milion franków posagu. Był bardzo szczęśliwy, życie wiodł spokojne, a urozmaicone. Pani Odetta była kobietą piękną, wykształconą, lubiła życie towarzyskie, więc dom państwa Malverne stworzył wkrótce jeden z najprzyjemniejszych salonów paryskich. Zbierało się tam towarzystwo bardzo wykwintne, prawdziwie dobrane, ale ściślejsza przyjaźń nie łączyła państwa Malverne właściwie z nikim, tylko kapitan Jacques de Saint-Briac, dawny kolega i przyjaciel Malverne'a bywał tam gościem niemal codziennym, przyjmowany jak brat, prawdziwie po bratersku przez sędziego.

Malverne nbolewał bardzo, że jego żona zachowuje się wobec kapitana cokolwiek sztywnie, jakby sobie przymus zadawała w okazywaniu należytej gościowi uprzejmości. Niekiedy też nawet czynił jej o to wyrzuty. Kapitan bywał często zamysłony, niekiedy posępny, a zawsze z jakimś odzieniem melancholii na twarzy.

Przygoda kapitana z ową damą na wieży nasunęła sędziemu przypuszczenie, że smutek jego jest wynikiem nieszczęśliwej miłości. Postanowił sobie ożenić przyjaciela i użyć do tego pomocy swej żony. Ułożył sobie plan, jak oboje zaczną kapitanowi roztaczać obrazy szczęścia małżeńskiego, jak go będą nęcili do ołtarza, jak mu będzie przypomnianiem przygody na wieży Notre-Dame obrzydzały płochę erotyczne wybryki. O tem myślał, wracał z pałacu sprawiedliwości do domu.

Było to koło godziny siódmej po południu. Pani Odetta siedziała w swoim salonie zamysłona, nie spokojna. Twarz miała nieco zmienioną, bladą, w oczach było widać ślady niedawno otartych łez. Nerwowo spoglądała co chwila na zegar, to znowu chłodziła się wachlarzem. Znać było rozdrażnienie i niecierpliwość; zapytała służącego, czy mąż już wrócił do domu, a dowiedziawszy się, że przybył przed chwilą, kazała go prosić. Po wyjściu służącego stanęła przed zwierciadłem, usiłowała nadać twarzy wyraz pogodny, nawet wesoły i pospieszyła ku drzwiom, aby oczekiwać męża. Malverne wpadł do salonu, jak zawsze rozpromieniony, gdy miał popieścić żonę i uściskał ją serdecznie.

— Cóż to się dziś stało, że tak późno wróciłeś? — zapytała pani Malverne.

— Ależ to bardzo długa historia, a do tego wielce ciekawa. Czytałaś przecież dzisiejsze dzienniki poranne?

— Czytałam.

— No, a ta historia na wieży kościoła Notre-Dame, czy cię nie zaciekała?

Pani Malverne lekko zadrżała i spuściła oczy.

— Widzę, że cię ta historia wzruszyła, — rzekł sędzia.

— O tak, tak, samobójstwo tej kobiety...

— Ależ to nie samobójstwo, to morderstwo.

— Jakto?

— Ta kobieta została z wieży zrzuconą. Przy stole ci wszystko opowiem, ale to mnie dziwi, że kapitan jeszcze nie przyszedł.

— Czy go widziałeś? — zapyła pani Odetta zżywieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).